

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

POEZYE



WARSZAWA
WYDAWNICTWO WŁADYSŁAWA OKRĘTA

1902.

KSIEGOZBIORU
K. Czachowskiego
TOM.

WYDAWCA: WILKINSON

POEZYE

Wiersze i ballady

W. WILKINSON

POEZYE



WILKINSON

WYDAWCA: WILKINSON



W. WILKINSON, WILKINSON

POZYTYW

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

POEZYE

Kawieren Cechowski.

25. IX. 1919



WARSZAWA
WYDAWNICTWO WŁADYSŁAWA OKRĘTA.

1902



64669 / I

Дозволено Цензурою,
Варшава, 16 Апрѣля 1901 г.

W 165 / 1

Wyznanie.

Bez młodzieńczej wiary idę w świat
Słońca nadziei duszy mi nie złocą—
Bo już przeżyłem wiele długich lat
W moim pokoju nocą...

I już me serce ubielił szron,
Choć czas nieprędko osrebrzy mi włosy,
Sam się ziarna i sam zbieram plon
A sny to moje kłosy...

Smutek marzenia w mózg mi się wpił,
Pomiędzy ludźmi błąkam się jak senny—
Żyję i życie chłonę pełnią sił
Zdała od wrzawy dziennej.

Gdy już słońce odpłynie w dal,
Kiedy wieczorny zmierzch poślubi ciszę,
W ocean życia, w odmęt srebrnych fal
Niosę sny moje mniszę...

Rośnie we mnie niepożyta moc,
Zapalam słońca i druzgocę światy,
Walczę... zwyciężam... kocham... Całą noc
Kwitną mych uczuć kwiaty...

Potem w oknie staje blady świt
A przy mnie życie — mój woźnica z batem,
Ze snu mnie budzi ostry zimny zgrzyt,
Żegnam się z moim światem...

Bez młodzieńczej wiary idę w dal,
Z tego, com prześnił i przecierpiał, szydę,
Słyszę daleki pomruk srebrnych fal,
Lecz morza już nie widzę...

Jak błędnych ogni powiewne skry
Nad mchów bagnistych zielone kobierce,
Z mgieł wyblyskają nocne moje sny
I żalem krwawią serce...

I tak wędruję bez wiary w świat,
Słońca nadziei duszy mi nie złocą,
Bo już przeżyłem wiele długich lat
W moim pokoju nocą...

Życie.

Życie — to zwykłe, bezsłoneczne, szare,
Którego treścią obiad, dach nad głowę,
To życie tłumów bezmyślnych jałowe
Chyli przemocą do mych ust swą czarę.

Gdzie oczy zwrócę widzę jego marę:,
„Dam ci kąć ciepły, pożywienie zdrowe,
„Ale ty, chłopcze, wszystkie sny tęczowe
Na mym ołtarzu złożysz na ofiarę.”

Tak sykiem węża szepce mi do ucha
Spokojne... gniewem nigdy nie wybucha,
Choć je przeklinam wciąż, odtrącam, gniotę,

Spokojne... wszędzie, jak cień za mną kroczy
I rzuca szarą mgłę między me oczy
A niebo jasne, gdzie lśnią gwiazdy złote.

Plein-air.

Leżę na stogu siana upojony ciszą,
Błękit mię obezwładnił, ogarnęła sennaś,
Oczym osłonił dłonią i w nieba bezdenność
Patrzę, kędy się srebrne obłoki kołyszą.

Marzę... W sercu, jak w księdze myśli zgłoski piszą
Coraz inne — rozwiewną barw, obrazów zmienność...
Poi mię łąk aromat i słońca promiennosć
Wzrok we mgły się obleka, piersi zwolna dyszą...

Tak gorąco, tak cicho... Gdy w dal niebieskawą
Spojrzę, dostrzegam, zda się, fal powietrznych
[drżenie
Wiatr drzemie gdzieś w przestworzu, nie szeleści
[trawą.

Nie gra na harfie z liści jego skrzydeł tchnienie.
Senno, cicho... uroczos... Zatęsknię — ż za wrzawą
Życia, czując na sobie wieczności spojrzenie?

Sen.

Jakiż sen dziwny!... O zachodzie słońca
Szedł wolno Chrystus przez zbożowe łany.
Szedł, zapatrzony w dal siną, bez końca
I w nieprzebraną ciszę zasłuchany.

Łzy miał w źrenicach, zadumę na czole,
Bólu i smutku tłoczyło go brzemię,
Szedł... za nim jasność wielka szła przez pole
I wstęgi złote kładły się na ziemię.

Jakiż sen dziwny... W pustce, na rozdrożu,
Gdzie krzyż ramiona wyciągał zczerniałe
I błogosławił złocistemu zbożu
I tym, co łzy mu składali na chwałę.

Ukląkł pokornie, niby chłop w sukmanie
On—Bóg, w królewskich blaskach i purpurze,
A echo niosło jęk po złotym łanie...
Płakał jak niegdyś na Oliwnej górze!

Wizya.

Cicha, miesięczna noc. Usnęły drzewa
Na stokach, góry piętrzą się milczące,
Księżyc je lekka, srebrną mgłą owiewa,
Śród liści światła porozsiewał drżące.

Ziemia w rozkosznym słodkim śnie omdlewa,
Hurysę odszedł pan jej — złote słońce —
Nagle się ze snu obudzi... wiatr śpiewa...
Powiało chłodem... światło rwie się — płacze...

I dziw nad dziwy — z białego obłoku
Widmo, błękitny rycerz się wyłania,
Hartowaną zbroję ma i miecz u boku —

Przez mgły z tęsknotą spogląda na ziemię,
Czekając hasła jakiegoś, wezwania...
Lecz ona znowu snem rozkosznym drzemie.

Poecie.

Krwia z pod serca, łzami pisał pieśni,
Póki w nich duszy nie wypłakał całej...
Ze łzą ostatnią usnął... snu nie prześni.
Lutnia umilkła, struny się porwały.

Odszedł na wieki, odpocząć w mogile
Po walce ciężkiej bolesnej i krwawej.
Daj mu, tam Boże, z jedną jasną chwilę,
Bo ich niewiele miał wśród ziemskiej wrzawy.

Szedł przez to życie w smutku i w tęsknocie,
Bo serce groby wzięły mu w niewolę...
Orlim szedł szlakiem... W słonecznej poźłocie
Myśla się błakał w złotych rojeń kole.

O daj mu, Boże, za lata rozpaczy,
Za te łzy pieśni, za jego żal wieczny—
Pozwól mu Boże, niech z nieba zobaczy,
Że się tu wyśnił sen jego serdeczny.

Na drzwi wiodące do sypialni zmarłej margrabiny,

Te drzwi rzeźbione staroświeckie,
Cicho drzemiące za portyerą
Z ciemno-krwawego aksamitu—
Drzwi, które wiodły do sypialni twojej
O złotowłosa —
Nieraz mi stają przed oczami
I oczy moje wnet zachodzą łzami.

Nie wiem — już nie pamiętam,
Czy to na jawie było, czy też we śnie,
Zwiedzałem zamku starego ruiny
Okryte pleśnią, mchem i zapomnieniem.
Nagle przewodnik mój palec na ustach
Położył, cicho wwiódł mię do komnaty
Złotej od słońca
I, ukazując białe drzwi rzeźbione
Natchnioną dłonią mistrza z obcej ziemi,
Rzekł, jakby szeptał modlitwę najświętszą:

„One drzwi wiodły do komnaty
Pani nieszczęsnej.
Umiała kochać i umarła młodo.
Dziś drzwi te do jej grobu wiodą.”

A potem, ręce jakby do modlitwy
Złożywszy, drżącym od wzruszenia głosem
Jął opowiadać mi łez pełne dzieje
Miłości twojej, męczeństwa i śmierci,
O cudnych pieśniach młodego lutnisty,
O strasznym gniewie starego margrabi
I o dniu krwawym, w którym kat posępny
Zabił pieśniarza
I w którym pękło serce twoje biedne,
Serce białe, jak lilje najbielsze.
O złotowłosa...

Nie wiem—już nie pamiętam
Czy to na jawie było, czy też we śnie;
Wiem, że się w duszy wyrzyło boleśnie...

Te drzwi rzeźbione staroświeckie,
Drzwi, które wiodły do sypialni twojej
Tam—po za niemi w mrocznej sali
Na posłaniu z białych róż
I z lilij, świętych kwiatów wiosny,
Śpisz cichym wiecznym snem.
O złotowłosa!...


Marzę...

Śni mi się, że jestem pieśniarzem,
Który ci pieśni wyśpiewywał cudne,
Płynąc po morzu błękitnem twych oczu,
Słuchając harfy najśłodszej twej mowy.

Muzykę słyszę... na organach grają...
Śpiew słyszę... na chórach śpiewają

O złotowłosa
To nasz ślub!
To nasz ślub!
O złotowłosa!

Już po weselnej uczcie... Noc cicha...
Idziemy razem...
Każdy kamień w posadzce płomieniem oddycha,
Każdy głaz przestał być głazem...
Każdy się pali miłosną tęsknotą —
Jużeśmy próg przestąpili,
Pierś moja ku twojej piersi się chyli
Szał... szal!.. Ogień, krew i złoto!

Więc to był tylko sen
O złotowłosa...

Uajali.

Kochanka moja, Uajali biała,
O oczach czarnych, jak noc południowa,
O włosach złotych, jak łan w blaskach słońca,
Smętna jak lilia, jak płomień gorąca,
Gwiazd lśniących w duszy pani i królowa,
Kochanka moja, Uajali biała,
Stała przy mnie, cicho się zaśmiała,
Potem na czole położyła dłonie
I rzekła głosem, w którym słońce płonie:
„Weź mię... na wieki oddaję się tobie,
„Wieniec z róż jasnych czoło ci ozdobię,
„Pieszczotą myśli do snu ukołyszę
„I poprowadzę w dal, w błękitną ciszę...
„A tam swe usta w usta twoje wplotę,
„Pierś w pierś i w owym uścisku złączeni
„Będziemy śnili, aż nas rozpłomieni
„Krew, aż się w ognie przemienimy złote.“

Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją
I kiedy w starym przedwiekowym borze
Na drzewach ptactwo budzi się z uśpienia,
Kiedy łódź-słońce, na błękitów morze
Płynąc, zorzami drogę rozpłomienia.

Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją,
Na kwiatach jeszcze srebrzyła się rosa,
W powietrzu jeszcze stały mgły perłowe,
Na niebie jeszcze noc hebano-włosa
Snuła warkoczem wstęgi purpurowe.

Kochanka moja, Uajali biała
Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała
A jej śmiech niebo otworzył nademną.
Ciche, przesłodkie harf anielskich granie
Oplotło srebrną wstęgą moją duszę,
Poczułem szczęścia jasne zmartwychwstanie
I w serce taka weszła mi ochota,
Że rozśpiewało się jak harfa złota.

Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała
A mnie się zdało, żem już wyszedł z ciała
I że na kwiatach gdzieś pod niebios progiem
Leżę i gwarzę cichą pieśnią z Bogiem,
Że jestem blaskiem lilii, wonią róży,
I pocałunków anielskich słodyczą,
Że jestem cichą piosenką słowiczą,
Świeżą jak łąka po wiosennej burzy.

Nie! to sen chyba! Uajali... Ona!
Wizya słoneczna ateńskich rzeźbiarzy
Pieścić mię pragnie i tulić do łona,
U stóp mych na głos o miłości marzy...
Nie, to sen chyba! Uajali biała,
Do której długom modlił się daremnie,
Szepee kochania owiana tęsknotą:
„Niech mnie twe dłonie pożarem oplotą,
Niech usta twoje krew wypiją ze mnie“...

.

Wyśnionej.

Przyjdź do mnie w ciche południe lipcowe,
Kiedy w uściskach słońca ziemia mdleje...
Oddam ci wszystko: moje łyzy cierniowe,
Moje sny chmurne, marzenia, nadzieje...

Przyjdź do mnie! Życie oddam ci bez żalu,
Od dziecka czekam na Ciebie z tęsknotą:
Na twą pierś białą, na usta z koralu,
Żar pocałunków i snów wstęgę złotą...

O! bo ty będziesz snić i cierpieć ze mną,
Śmiać się i płakać... Wiem, i to mnie zbawi,
Więc przyjdź, przyjdź prędeej, bo tak pusto, ciemno

Na mojej drodze, bo serce się pławi
We krwi i wędnie w tęsknocie... i kona.
O, przyjdź i wróć mię do życia, wyśniona!



Przebudzenie.

Przychodzą do mnie jakieś echa
I krzeszą iskry złote w sercu...
Na snów, na jasnych snów kobiercu
Dusza do słońca się uśmiecha...
Ukołysaną, roztęsknioną
Błękitną słodycz opromienia,
Bo czuje, że się tłą w niej, płoną
Nowe zachwyty i pragnienia —
A zimna była już jak lód,
Już odszedł od niej pragnień głód...

Przychodzą do mnie jakieś echa...
Snują się przy mnie jakieś mary,
Śni mi się słomą kryta strzecha,
Drzemiąca w cichej wiosce starej,
Śni mi się duże, letnie słońce,
Omdlałe kwiaty, senne drzewa,
Po ziemi ognie chodzą tśniąco...
Tak cicho... stary sad nie śpiewa
I drzew nie chwieją się korony —
Usnął... w płomieniach... rozmarzony...

Przychodzą do mnie jakieś echa
I krzeszą iskry złote w sercu...
Na snów, na jasnych snów kobiercu
Dusza do słońca się uśmiecha...
I, zatapiając oczy w sobie,
Czuje, że dziwny żal ją smęci,
Bo wiosnę swą przespała w grobie
Melancholijnej niepamięci,
Bo zimna była już jak lód,
Bo odszedł od niej pragnień głód...

Pieśń o oczach.

I.

Te oczy ciche, głębokie jak morze
Niepostrzeżenie wzięły mnie w niewolę.
Myślą się błakam w złotych rojeń kole,
Czuję, że w sercu palą mi się zorze
I błogosławiają za moją niewolę
Te oczy ciche, głębokie jak morze.

Te oczy ciche, głębokie jak morze
Rozsłoneczniły moją smutną duszę
Modlę się do nich w zachwycie i w skrusze
I znowu w sobie mam królestwo Boże,
Odkąd olśniły moją smutną duszę
Te oczy ciche, głębokie jak morze...

Te oczy ciche, głębokie jak morze
Niepostrzeżenie wzięły mnie w niewolę,
Wróżą mi jakąś słoneczniejszą dolę,
Modlę się, tęsknię, smucę się i trwożę
I kocham... kocham za moją niewolę
Te oczy ciche, głębokie jak morze.

II.

Błogosławione niech będą te oczy,
Które mi świecą dziś jak gwiazdy złote,
Te sny płomienne, ten oblęd uroczy,
Co moje myśli falą światła mroczy,
Kiedy z urojeń jasne wieńce plotę...

Bo sercu memu odjęły martwość,
Bo duszę grzeją mi, jak hymn proroczy,
Te oczy ciche, te jasne, te oczy
Błogosławione.

Niosę im życia mojego tęsknotę
I niebo widzę w ich głębi przezroczej,
A wówczas duch mój z bóstwem się jednoczy
I tak się modłę: niech będą te oczy,
Które mi świecą dziś jak gwiazdy złote,
Błogosławione.

III.

A choć nie dla mnie śmieją się i płaczą
Te oczy ciche, głębokie jak morze,
Innym już serca chyba nie otworzę...
A choć nie dla mnie śmieją się i płaczą,
Ja pamięć o nich z tęsknotą tułaczą
Będę niósł w sercu, aż się w grób położę...
A choć nie dla mnie śmieją się i płaczą
Wiecznie mi będą świeciły jak zorze.

Bo nie i nigdy nie wyrwie z mej duszy
Dziękczynnej myśli za ten mój sen złoty,
Za te złudzenia, za te orle wzloty...
Bo nie i nigdy nie wyrwie z mej duszy
Tych spojrzeń, ani słów tych nie zagłuszy,
Słońcem mi będą w szarych dniach tęsknoty!
Bo nie i nigdy nie wyrwie z mej duszy
Tego złudzenia, tego snu Heloty.

Przysięga.

„Z nią albo na niej.“ Z tarczą lub na tarczy
Zejdziemy z pola odpocząć w mogiłach —
A będziem walczyć, póki tchu nam starczy,
Póki krew będzie czerwienić się w żyłach!
A naszym słońcem nieśmiertelne piękno,
A nasze hufce przed wrogiem nie klękną!

Naprzód — z miłością, wiarą i tęsknotą
Do ideału, do sławy, a wiernie...
A jeśli błoto na drodze — przez błoto!
A jeśli ciernie i głogi — przez ciernie!
A jeśli wieńce i róże — przez róże!
Z królewską dumą, w królewskiej purpurze!

O świecie w pole! Dziś uczta weselna
Śmiech, szal, sny złote, rojenia — my młodzi
Przed nami życie — chwała nieśmiertelna...
Pójdziemy po nią, jak wiatr przez step chodzi
I albo z drogi zmiecie nas śmierć krwawa,
Albo tam — czoła uwieńczy nam sława.

O świecie w pole! Białych orłów skrzydła
Pieśń nam zaszumią... las odpowie echem,
Wnet szare życie porozpina skrzydła,
Wnet tłum opluje nas szyderczym śmiechem,
Wnet mgły posępne niebo nam oplotą —
A my pójdziemy z wiarą i tęsknotą!

Tak przysięgamy. Z tarczą lub na tarczy
Zejdziemy z pola odpocząć w mogiłach!
A będziem walczyć, póki tchu nam starczy,
Póki krew będzie czerwienić się w żyłach,
A naszym słońcem — nieśmiertelne piękno...
Z niem — póki dzwony na pogrzeb nie jękną!

Szum deszczu.

Szum deszczu, smutny, monotony
Rozsnuł nad ziemią mgłę tęsknoty,
Serca ocienił melancholją
I ukołysał w sen bez snów...

Śród łez i skarg jesiennej słoty
Winie się pacierz drzew przedzgonny —
Z lasów omglonych melancholją
Wychodzi zimna śmierć — na łów...

Płynie z wiatrami w świat przestronny,
Z oczu jej pada cień martwoty,
Usypia ziemię melancholją
I w sen kołysze, w sen bez snów.

Płynie z wiatrami mrok tęsknoty,
Płynie serc ludzkich druh dozgonny,
Krew w żyłach mrozi melancholją,
Chłodem niewymówionych słów.

Piosenka.

Ptak mój złoty odleciał odemnie,
Dzisiaj tęsknię po nim... nadaremnie
A roz tęskniony smucę się i trwożę,
Bo myślę, że już nie powróci może
Ptak mój złoty...

Na obych drogach, dalekich morzach,
Zginął jak słońce w wieczornych zorzach
Ptak mój złoty...
Tęsknię... coś szepce, że niedarmo płaczę,
Bo już tych skrzydeł jasnych nie zobaczę.

Ukochany — odleciał odemnie,
Dziś go czekam, wołam... nadaremnie
Tęsknię, płaczę i serce mnie boli,
Bo na wieki wziął je do niewoli
Ptak mój złoty...

Gdzieś się zabłąkał, przepadł bez wieści,
Słodką pieśnią już mnie nie popieści
Ptak mój złoty...

Bez tytułu

Nieraz bezsenność, jak głodna hyena,
Krwia cierpliwości mojej kły czerwieni,
Czasem przyczyną tego jest migrena,
Czasem ból zębów... a czasem w jesieni,
Kiedy deszcz pada i liście z drzew prószy,
Jakaś specjalna dolegliwość duszy.

Bo owe noce, ponure jak piekło,
Straszny ból kryją na dnie martwej ciszy
I sączą w duszę — lzy i gorycz wściekłą —
Tak... kiedy człowiek własny oddech słyszy,
A lampa wizje posyła na ścianę,
Serce się zmienia w jedną krwawą ranę...

I chciałoby się wówczas wyć i walić
Głową w ten twardy mur z głupiej tęsknoty
I na złość Bogu i ludziom świat spalić
Lub słońce zgasić... cisza... smętne koty
Płaczą na strychu — szyby dzwonią w oknie,
Wiatr gwizdże... „dusza w melancholji moknie.”

Słowem — nie można rzec, aby przyjemnie
Było... Czasami prześni się przez głowę
Jakiś sen złoty i rozświecili we mnie
Majowem słońcem smutki, i majowe

Pieśni obudzi, i rozepnie żagle
Wiosennych dum i snów i gaśnie nagle...

A mnie już chwyta dziki strach za gardło,
Przymykam oczy, drzę, bo mi się zdaje,
Że, gdybym spojrział, jakąś twarz umarłą
Ujrzałbym w oknie, że ktoś wszedł, że staje
Tuż za mem krzesłem, że ktoś drzwi otwiera
I klęka w progu... czarny... et caetera...
Nie warto pisać...

Ale nieraz całą

Godzinę spędzę jak posąg... bez ruchu;
Potem już dobrze... rozglądam się śmiało,
Gwiżdżę z fantazją wielką i klnę w duchu
Bezsенność, trwogę i dolę sierocą
Panów, co przyszli na świat Bóg wie poco...

Potem świt... zwolna niebieskawą falą
Wdziera się sennie światło do pokoju,
A wtedy smutki najgłośniejsze się żalą
I dusza mdleje z trwogi i ze znoju,
Bo najboleśniej jętrzą się jej rany,
Kiedy świt głupi obłękitnia ściany...

Hm... źle jest ojcze duchowny... Dziś właśnie
Mam taką miłą noc... Usnąć nie mogę,
Wciąż coś się w duszy zapala, coś gaśnie,
To się do zorzy śmieję, to w pożogę
Patrzę się smętnie... jakiś robak toczy
Serce i łzami mgli zmęczone oczy,

A w uszach wciąż mi uporeczywie dzwoni
Melancholijna starej piosnki nuta—
Raz po raz... Siedzę... pióro trzymam w dłoni
Na stole kartka papieru zasnuta

Siecią zygzaków... to moja zabawa
Nocna... bezmyślna może, ale krwawa.

Gwiżdżę i psuję papier... a po głowie
Różne mi dziwne myśli chodzą tłumnie —
Obrazy: srebrny wodospad w parowie,
Pająk, ten co to piał się po kolumnie
W letni, słoneczny, skwarny dzień... Już prawie
Wlażł, gdym go zabił... Czasem się tak bawię.

Może katechizm to potępia, ale
Że to jest śmieszne dość, nikt nie zaprzeczy.
Zresztą, jak kto ma humor, niech na szalę
Swej zacnej duszy rzuci te dwie rzeczy
I waży... mnie to nie przyszło do głowy;
Śmiałem się z siebie, z trupa i z Jehowy,

Bo proszę państwa, przecież to logiczne:
Szedł pająk... może marzył... Czyż nie wolno
Marzyć pająkom... Może kochał śliczne
Dziewczę pajęcze... a może mozolną
Pracą zajęty — pracą dla stuleci,
Obmyślał nowe, ulepszone sieci...

Na drodze ciemno, smutno... Wiatr się żali,
Deszcz gra na szybach melodję żalowaną...
Pośepna, głucha cisza... Gdzieś w oddali
Zadzwonił zegar... Ciche dźwięki rosną
I olbrzymieją... Jest w nich coś co ścina
Krew najgorętszą w lód. Trzecia godzina.

Cisza... objęła ulicę odludną
Uściskiem trupich rąk, całuje, pieści
I głuchym bólem zapładnia... Jak nudno...
Jak strasznie cicho... Czasem zaszeleści
Za oknem szkielek umarłego drzewa
Jak konający... westchnie i omdlewa.

A wiatr litanję mówi: Jezu Chryste
Nad konającym ulituj się — cisza...
Konającemu otwórz swe przeczyste
Serce i grzechy wszelkie odpuść — cisza,
Jęk coraz słabszy i w połowie rwie się
Drzewo umiera — — umiera nie w lesie.

Deszcz przestał padać... wiatr zcichł... O, mój Boże,
Teraz... za chwilę... teraz coś się stanie...
Drzewo umarło... już umarło... Może...
I księżyc umarł i zgasł... Jakieś łkanie
Piers mi rozdziera... Boże! zaraz ciszę
Rozedrze głuchy jęk... zaraz usłyszę!...

Raz, dwa, trzy, cztery... Czy ja oszalałem?
Płyniemy... Prędziej!.. Łódź moja już czeka,
Dziwna łódź, cała okrwawionem ciałem
Jak aksamitem wybita — i rzeka
Dość dziwna... fale huczą jak we młynie,
A zamiast wody Hondurango płynie,

Hiszpańskie wino lecznicze... Po brzegach
Stoją Chińczycy, palą im się oczy —
Stoją — jak wojsko — w dalekich szeregach;
W rękach trzymają końce swych warkoczy
Chcą nas bić... prędziej... uciekaj na morze...
Prędziej... daj wiosła... prędziej... sam powożę!

Płyniemy — jasne słońce wstaje z wody,
A świt różany złoci ciche fale...
Majowe kwiaty pachną... Pannie młodej
Musi być tęskno... spieszmy! Ja się żalę,
Że nie ma serca?! Ha, ha, przewoźniku,
Ktoś ci nabajać musiał głupstw bez liku,

Patrz! patrz... tam — w złocie wschodzącego słońca
Idzie po falach rak... idzie jak człowiek...

To ten ze sklepu, z okna — mgły roztrąca,
Ma płaszcz zielony, a z oczu bez powiek
Pada na wodę cień, jak od szarańczy...
Śmieje się, gwizdże, menueta tańczy!

Dzwonek... ktoś wraca i do bramy dzwoni;
O źle jest... ten rak... leczyćby się warto.
Wcześniej spać chodzić i mniej myśleć o niej —
Ale cóż robić... duszę mam upartą,—
Przytem, jak rzekłem wyżej, wciąż ją toczy
Jakiś czerw, łzami mgląc zmęczone oczy.

To melancholja... To ta nimfa smutna,
Siostra nadziei, ciotka mego serca,
Bo choć pokrowcem z kłownowskiego płótna
Szczelnie owijam je — ona się wwierca
Jakoś do środka, no, i skutkiem tego,
Zamiast spać, błąkam się do dnia białego...

Co prawda, trochę wstyd mi mówić o tem,
Lecz będę szczerym, przyznam się, pal diabli!
Jestem tak nawpół... trochę Don Kichotem,
Trochę rycerzem mężnym, lecz bez szabli.
Dał Pan Bóg duszy mojej orle tchnienie...
Skrzydeł zapomniał dać... przez roztargnienie.

A zresztą nie wiem — może miałbym skrzydła,
Gdyby mi w duszy wyschły owe zdroje
Wiecznego smutku, gdyby mi wędzidła
Tęsknoty zdjęto z serca, gdybym moje
Błazeńskie szaty z dzwonekami mógł zrzucić,
Eh! lepiej spać iść, niż tę piosnkę nucić.

Bo to jest stara piosnka... Gdyby, gdyby,
Gdybym był młodym Panem Bogiem, pewno
Lepiejbym życie urządził...

Znów szyby
Dzwonią. Znów pada deszcz... Śpiąca królowno!

Dzięki Ci — jestem kontrolerem sloty,
Jakgdybym nie miał już nic do roboty.

O! moja pani, pani cichych oczu
I milczącego serca... mów na Boga
Co ja mam robić... Można na uboczu
Stać i udawać sfinksa... Ale wroga
Mej duszy sztuczny chłód ten nie omami...
Nieraz się śmieje ze mnie memi łzami.

Zapomnieć... Dzisiaj na samą myśl o tem
Fala krwi mózg mi zalewa i mroczy.
Widzę—w nieziemskim świetle bladozłotem
Twe ciche, jasne, cudne, zimne oczy...
Patrzą się we mnie... Ta przelotna chwila
Wieko od trumny wspomnień mych odchyła

I wszystkie mary zmartwychwstają tłumnie
I uroczyście w świetnym korowodzie
Idą, jak blaski słońca, idą ku mnie
I tak jak one w letni świt na wodzie
Na mojem sercu się kładą... A potem
Wracają — grób się zamyka z loskotem!

We dnie, przy świadkach, zaśmiałbym się głośno
I rzekł: do diabła z takim kontredansem —
Lecz noc sprowadza tę ciszę nieznosną,
Która zabrania mi blazeńskim glansem
Myśl polerować i szczerym być muszę,
Bo to dość trudno okpić własną duszę.

A propos owych ludzkich dusz: od dziecka
Do dziś dnia jeszcze wyobrażam sobie
Każdą z nich jako melodję... Nieświecka
I świecka wiedza napewno przy żłobie
W Pana Jezusa stajni za tak cudną
Myśl stanąćby mi kazała, lecz trudno...

Pomimo wszystko wierzyłem i wierzę,
Że każdej duszy treść spisaćby można
Na tym specjalnym nutowym papierze...
Przeróżne style są... więc jest pobożna
Kościelnych hymnów muzyka, jest skoczna,
Jest symfoniczna, smętna, nadobłoczna...

Są Chopinowskie dusze—roztesknione,
Okryte złotą rdzą miłości, ciche,
Wagnera — każda królewską koronę
Ma i płaszcz królów, purpurową pychę,
W milczeniu roi sny posępne — nocą
Bolesne łuny tych snów niebo złocą.

Są Bethovena — te znów księżycowe
I życie dla nich ciężką jest niewolą,
Wiecznie w nich szumią refreny echowe
Zaświatów — one krwawo się mozolą,
Aż wreszcie więdną niby chore kwiaty
I odlatują z uśmiechem w zaświaty...

Zresztą przeróżne... Otóż moja własna
Jest z operetki arją, którą śpiewa
Człowiek, cierpiący na zęby... Rzecz jasna,
Że mnie muzyki tej styl nie olśniewa
I nie weseli, choć się ciągle śmieje...
Przedtem był inny... ten świeże ma dzieje,

O, moja pani, pani cichych oczu
I milczącego serca! Mów na Boga
Co ja mam robić?... Teraz na uboczu
Stoję jak zebrak, co stanął u proga
I marzy... Ot tak, aby własną nędzą
Duszy nie krwawić... Śni, aż go przepędzą...

Ten zebrak smutny — to ja. Obojętną
Mam zawsze minę, nie różnię się niczem

Od mych przyjaciół, no i życia tętno
Drga we mnie żywo, bo trupiem obliczem
Nie straszę ludzi pocziwych — a przecie
O moja pani — źle mi jest na świecie...

Bo mam wrzód w duszy — a to się tak stało:
Kiedys w zimową noc zakwitł w niej cicho
Biały kwiat, cudny... O zorzy... nieśmiało
Spojrzał się w słońce — no, i jakieś лихо,
Czar czy przekleństwo, zamroziło chłodem
Ten mój kwiat... umarł... Dziś się czerni wrzodem.

To smutne... prawda, proszę pani... szkoda
Mojego kwiatu i mojego maju—
Podobno miłość, jak ożywcza woda
Ożywia serca... Coś w owym rodzaju
Czytałem kiedyś w bardzo mądrym dziele
Dziś się przeczytać tego nie ośmielę.

Odejść nie mogę, ale milczeć muszę,
Tłumiąc ból wiecznie bezmyślnym uśmiechem...
Pan nie w humorze?... Pani, spojrz mi w duszę,
A toć jabym Cię spalił swym oddechem
I zacząłował na śmierć — potem jeszcze
Trupabym pieścił... Czasem ból tem pieścę...

Bo ja chcę ciebie mieć... rozumiesz — duszę...
Chcę mieć twe ciało i krew... ja chcę szalu...
Chcę zmysły tracić w pieszczot zawierusze,
A potem własną dłonią ideału
Gwiazdy zapalać i pić z twoich oczu
Światło słońce, cicho błędzących w przezroczu.

Kochać i marzyć... W błękitach zaświata
I w złotym ogniu krwi utopić życie,
A potem umrzeć... Dni starczą za lata —
Umrzeć w noc szalu i niech nas o świecie
Na stary cmentarz odprowadzą tłumnie

W jeden grób... Trupy będą szaleć w trumnie!

. Ja chcę...

—Jak widzę, pan dobrodziej pragnie

Dość dużo — wprawdzie to nic nie kosztuje,

No, ale życie pewno się nie nagnie...

—Pan sobie strzeli w łeb... Eh, pan żartuje,

Kochany panie... Co? pan kręci głową?

Będzie pan wesół i zdrow, daję słowo.—

— Ktoś ty... — Rozsądek... — Precz maro przekłeta!

Jeszcze nie widział takiej niewdzięczności.

Wstyd, drogi panie... Czy też pan pamięta.

Bym się naprzykrzał kiedy... Owe włosi,

Którem miał w pańskim umyśle — przed laty

Sprzedalem innym uczuciom... na raty.

Dzisiaj — przypadkiem — znalazłem się właśnie

W tych stronach — panie — ja od serca radzę,

Spójrz pan... świt stoi w oknie... lampa gaśnie,

Więc, choć już nad nim utraciłem władzę,

Choć się nie lubię wtrącać w cudze rzeczy —

Idź pan spać, panie, to pana uleczy...

I znikł..

Osoby nie zauważyłem,

Lecz głos słyszałem wyraźnie... Ha, trudno

Może miał rację... Zbytńo rozpuściłem

Cugle tęsknocie... a od tego chudną,

Bledną i kaszlą ludzie... Noc się kończy...

Co?... a ja jeszcze nie mam swej oponczy?!

Ubranie... Czapka... Dzwonki... Jestem gotów.

Bądź zdrow dziwaczny mój Amorze... Vale!

Już oto... szydę i kpię z twoich grotów

Jeśli chcesz, strzelaj... Już się nie rozzalę,

Już dzień... Naciągaj swój łuk z całej mocy,

Ale na Boga nie wracaj tu w nocy...

Piosenka.

Niech żyje śmiech, niech żyje szal,
Niech ginie świat, niech wszyscy giną!
Byłem się bawił, byłem się śmiał,
Byłem cię zawsze u boku miał
Dziewczyno!

Dość łez, dość westchnień, dosyć skarg,
Bo darmo i bez celu płyną—
Znudził mię życia huczny targ
I chcę się upić krwią twych warg
Dziewczyno!

Niechaj tam fala życia wre,
Niechaj się łodzie jasne wirą,
Ja wolę pierś twą, usta twe
I jedną twych całusów skre
Dziewczyno!

Rozmowa.

Pójdź, dziewczę, siądź mi na kolana,
Nagie ręce zarzuć mi na szyję...
Pieść mię, całuj, patrz, już ledwo żyję,
Nie nie nęci mnie i w nie nie wierzę,
Po otchłaniach bezsłonecznych błądzę,
A żyć pragnę... ratuj mię kochana...
Pieść mię, całuj, rób co chcesz, a szczerze
Z całej duszy... jeszcze mam pieniądze.

Co? Ty dziwisz się, żem taki młody?
Może... może... lecz już wyszło serce,
Tak nieznacznie iskrę po iskierce
Przytłumiałem w niem... nie z własnej woli
Mniejsza o to... dzisiaj dusza pusta
Jeśli szuka, to letejskiej wody...
Nie rozumiesz? Co tam!... to tak boli...
Lepiej pieść mię... wessij mi się w usta,

Wiesz co... bawmy się, szepcz mi do ucha,
Że ty jesteś tą moją wyśnioną
W snach słonecznych kochanką, czy żoną,
Potem, szepcz, że mię kochasz nad życie.

I pytaj się, czemu taki smutny,
Ześmy sami, że nas nikt nie słucha
Mów i mowę przeplataj obficie
Pieszczotami, a będę rozrzutny.

O tak... przytul się do mnie... tak... mocno,
Więc tyś moją już duszą i ciałem
Przez lat tyle wszędzie cię szukałem
We łzach, w trwodze, ból krwawił mi łono,
Zdało mi się, że przejdę przez życie...
O daj spokój... Zapomnij, żeś nocną
Heroiną, ja chcę mieć wysnioną
I wysnionej zapłacę sowicie...

No pójdź, wróć się, siadź mi na kolana,
Nagie ręce zarzuć mi na szyję..
Pieść mię, całuj, patrz już ledwo żyję,
Nie nie nęci mię i w nie nie wierzę...
Po otchłaniach bezsłonecznych błędzę,
A żyć pragnę... Ratuj mię kochana,
Pieść, gryź, całuj, rób co chcesz a szczerze,
Z całej duszy, jeszcze mam pieniądze.

Miłość.

Jeszcze echo śpiewa o kochaniu,
Jeszcze słodycz ust twych czuję złotą,
Jeszcze ślad twój widzę na posłaniu,
Jeszcze burze zmysłów pierś mi gnioł.

Każdy nerw mój jeszcze ogniem płonie,
Drży twój obraz w każdym serca tętnie,
A ty, moja, na czyjemś tam łonie,
Wieczną miłość przysięgasz namiętnie.

Więc się dziwię, czemu w snów zaraniu
Sny umilkły i rojenia zbladły,
Kiedyż słońce gaśnie o świtanu?
Kiedyż róże nie kwitnąć opadły?

A mój demon, ten stary szyderca
Z melancholją w oczy mi się patrzy:
„Tak, tak, chłopcze, masz aż nadto serca —
Żebyś przytem był trochę bogatszy...”

Zaulek.

Antoniemu Procajłowiczowi.

Zaulek w szarych kamienie obręcze
Zamknięty, cichy, posępny, ponury...
U wyjścia światel niewidzialnych tęcze
Krwawią rdzawemi poblaskami mury.

Domy śpią cicho, we mgłach, jak przełęcze
Gór zadumanych.. Niebo czernią chmury—
Zaulek w szarych kamienie obręcze
Zamknięty, cichy, posępny, ponury...

Cisza: milczenie zgubionych cmentarzy
Kładzie na stare, poszczerbione ściany
Złą melancholję spalonych ołtarzy.

Do serc się wsącza strugą światła mętą
I stare, dawno zabliźnione rany
Oświeca swoją martwotą przesmętą.

W noc zimową.

Jak cicho... Zda się, że w tę noc zimową
Przeszła nad miastem śmierć z piorunem w dłoni,
Jak stary okręt na dnie morskiej toni
Gród śpi pod falą śniegu brylantową...

Czasem wiatr nagły szyldem gdzieś zadzwoni,
Szmer mdleje w pustej ulicy echowo...
Cisza... W tę białą, śnieżną noc zimową
Przeszła nad miastem śmierć z piorunem w dłoni.

Gotyckich wieżyc wysmukłe kontury
W miesięcznem świetle kreślą się srebrzyście
Życie wstąpiło w poczerniałe mury:

Z każdego kąta cień dziwny się szczyrzy:
Potworne kwiaty, fantastyczne liście,
Oczy pomarłych mnichów i rycerzy.

Wieczorem.

Raz po raz mdlejąc nieprzytomnie
W szumie ludzkiego oceanu,
Skoś gwar uliczny płyną do mnie
Stłumione dźwięki fortepianu.

Skoś gwar uliczny płyną z dali,
Z każdego taktu smutek wieje,
Melancholijny walc się żali,
Przez łzy do srebrnych gwiazd się śmieje.

Coraz to niklej szemrzą tony,
Na niebie zimny księżyc świeci,
Smutek w melodyi utajony
Rozsnuwa niewidzialne sieci.

Do serca wkrada się tajemnie,
Łzą senną srebrzy się po twarzy,
Serce się obudziło we mnie,
Z Bogiem o innych światach gwarzy.

Czarna msza.

(z Heredii.)

Mocniej przytul się do mnie... Mocniej... Usta wrące
Niech rozogni, obląka żar mego pragnienia,
A twa pierś niechaj głuszy zgryzoty sumienia
Jak otchłań! Spal, rzuć serce w ognie pieszczot żrące.

Śmierć przysięgi, co przetrwać miała lat tysiące
Miłość mą całą zbrodnią moją rozplomienia—
Dziś, sam nie wiem, ofiara czyli poświęcenia
Kapłan—w boskiem twem łonie mam najświętsze słońce.

I cóż mi dziś śmierć znaczy... Bóg i nieśmiertelność—
Nadzieje z mgieł... tortury niewypowiedziane—
Nic... nic... wszystko **mi** niczem, gdy pieszczę twe dłonie.

Bo w twoje ciało płonące weszła wszystka dzielność
Mej duszy i ssie rozkosz i jad i oplwane
Niebo i ciemność piekła, które mię pochłonie.

Świt.

Już dnieje. Szare światło wkrada się nieśmiało...
Patrz... A teraz ktoś złota naprószył na ścianę...
To słońce?! Coś tak gorzko w mem sercu załkało...
—Ciekawym, czy też słońce jest kiedy pijane?

Dobrze... dobrze..., Pójdziemy. Purpurowe zorze,
Las się pali... Cudowny jest wschód słońca w lesie,
A nad morzem... Bezbrzeżne, nieskończone morze
Atlantyki!! Każda fala złoty pożar niesie!

Dobrze... pójdę. Jej oczy świeciły jak słońce,
A taki blask z nich płynął świeży, nieustanny,
Takie światło pogodne, zaziemskie, rzeźwiące
Niby w godzinę cudu z ócz Najświętszej Panny.

Ależ pójdę już... pójdę... W grabowej altanie
Cichą żalostną skargą zaszumiały drzewa...
Moja biała królewna, moje ukochanie...
Słyszysz! słyszysz! Tu, w sercu, echo jej słów śpiewa.

O Świcie.

Zimny świt, we mgle chmurnej ugrzęzły,
Sennem okiem spojrzął na ulice
Szarem światłem oblókł kamienice
I powoli rozplątywać jął węzły
Zapłakanej smutnej nocy jesiennej ..
Zimny świt, we mgle chmurnej ugrzęzły.

Miasto śpi w melancholji bezdennej,
Tu i owdzie snują się jak duchy
Stróże nocni w posępnej a głuchej
Ciszy murowanej Gehenny,
Jakieś widmo gasi mdławe latarnie...
Miasto śpi w melancholji bezdennej.

Świt, już świt! Otwierają piekarnie.
Że też na myśl nie przyszło nikomu,
Aby wcześniej dziś powrócić do domu.
Ta noc czy mi ujdzie bezkarnie,
Czy nie sięgnie za zapłatę—po życie?
Świt, już świt. Otwierają piekarnie.

Znowu wracam do domu o świcie,
Sennie, chwiejnie idę przez ulice.
Mózg mi krwawią bólu błyskawice,
Ranny wiatr żre mię jadowicie,
Szum mam w uszach, usta pełne goryczy..
Znowu wracam do domu o świcie.

Nazajutrz.

Jak ciemno... Która to godzina? Boże..
Jak mnie dziś głowa boli... Znów przeklęty
Deszcz pada... Jestem, jakby z krzyża zdjęty;
W żyłach mam ołów i żółć... całe morze...

Trzeba wstać... Jak mi smutno, jak ponuro...
Ktoś gdzieś wygrywa gamy... Niech go piekło
Razem z muzyką porwie.—Coś uciekło
Z mej duszy... Coś, co w niej było purpurą.

W uszach mi nagle walc zatańczył. Słyszę
Pijane krzyki i śmiech, brzęk szkła, czuję
Pałacy zapach włosów... Walc wiruje.
Umilkł i dusza zagłębia się w ciszę...

Trzeba wstać—kiedyś po srebrzystej łące
Szedłem nad rzeką... las szumiał daleki
Pachniało zboże, świeżość szła od rzeki,
Świeciło złote rozkochane słońce...

W i z y a.

Mojej Matki zapłakane oczy
Patrzą na mnie z beznadziejną trwogą.
Słyszę głos jej—co we krwi broczy
„Ja już nie mam na świecie nikogo“...

Przez otchłanie, przez góry i morza
Idzie za mną, jak echo tułacz.
Hen, na życie mojego bezdroża—
Idzie za mną jak echo i płacze...

Zdaje mi się czasami w noc ciemną,
Że jest przy mnie, smutna, zapłakana:
Że pochyla się cicho nademną
I już usnąć nie mogę do rana.

Jak szalenie w mrok wyciągam dłonie
I odpycham jej wizję od siebie,
Tę twarz bladą w cierniowej koronie
Od gwiazd lśniącej, jak rój gwiazd w niebie.

W i z j a.

Co noc ktoś cicho nademną łka
I woła mnie po imieniu,
Na twarzy czuję stalowy blask
Oczu, błyszczących gdzieś w cieniu...

W bólu i w trwodze serce me drży,
Jak ptak śmiertelnie zraniony,
Duszę, zasnutą w wieczysty mrok,
Oświeca płomień czerwony.

Jak wąż oślizgły winie się wstręt
I syczy w każdym wspomnieniu;
Co noc ktoś cicho nademną łka
I woła mnie po imieniu.

Ze wspomnień.

Pamiętasz ty tę noc białą od śniegu
I brylantami strojną od miesiąca,
Szliśmy... Ty z nami, najpierwsza w szeregu
I najgorętszym szaleńcem jaśniejąca.

Najgłośniej śmiałaś się z nas i najszczerzej,
Drżała w twym śmiechu bezmyślność zabawy,
Chociaż niekiedy, niby puszczyk z wieży
Nagle się budził w nim jakiś dźwięk krwawy.

Ale nie zważał na to nikt—ty nawet,
Wnet potem, jakby żałując wybryku,
Płaciłaś smutkom przelotnym wet za wet
Wybuchem śmiechu i głośnego krzyku.

Pamiętasz?... Pewno... jeśli żyjesz jeszcze...
Bo to wesoła była noc... Wichurą
Biegł śmiech w zaułki ciemne i złowieszcze,
A stare domy słuchały ponuro.

O, bośmy wówczas strasznie, bezlitośnie
Sen tych kamienie średniowiecznych rwali,
A one może śniły o swej wiośnie...
O trubadurach i rycerzach w stali?...

* * *

Nagleśmy wszyscy znikli... przed kościołem.
Stał cały w śniegu, niby olbrzym biały
Zdał się chmur bladych sięgać dumnym czołem
Pełen powagi i nieziemskiej chwały.

I taką grozę roztaczał dokoła,
Że nam śmiech zamarł na ustach. Tam z wieży
Chrystus z koroną cierniową u czoła,
Chrystus bolesny z półmroku się śnieży.

Przed się wyciągnął dłonie swoje obie,
Głowę na piersi opuścił i płacze
W krwawego bólu milczącej załobie
Cicho, jak owi bezdomni tułacze...

I jakby zimny wiatr wionął nam w dusze
I śmiech odpędził na bory, na lasy...
Bośmy umilkli w niepojętej skrusze,
Każdy powrócił myślą w inne czasy.

Chwilę milczenie trwało uroczyste,
Stary zaułek cichy był, jak cmentarz,
Aż nagle rozległ się dziki jęk: „Chryste.”
A potem straszny, wściekły płacz... Pamiętasz?

A potem, potem znów na pocieszenie
Piliśmy likier; gdy wstał świt blady
Już byłaś piękną, jak sen, jak marzenie,
Pod pudrem znikły łez niedawnych ślady.

Pamiętasz? Pewno... jeśli żyjesz jeszcze...
We mnie ta chwila ożyła dziś w nocy..
Ze snu mnie zbudził deszcz—przekłete deszcze —
I wciąż mi w uszach drży twój płacz sierocy.

I jakiś dziwny śmiech błąka się w duszy,
Jakaś tęsknota, żal serce mi dławi..
Noc pełna światła srebrnego, śnieg prószy
Stary zaułek, śmiech, krzyk... „Lud się bawi!”

I śmiać mi chce się i płakać. gdy roję
Tę moją przeszłość już osnutą mgłami
I gdy pomyślę, jak to wiodą boje
Dusza z likierem i puder ze łzami.

Piosnka niewolnika.

Na twarzy noszę krwawy ślad
Twej dłoni—noszę twoją ślinę.
Milczę, bo mnie nauczył bat
Milczenia—czasem liczę rany...
Wiem... Dziś lub jutro od nich zginę...
Mój wyrok dawno podpisany...

I nie zobaczysz moich ran
I nie usłyszysz mojej skargi.
O tobie, Panie, wiem, żeś pan
Jasny, jaśniejszy niżli słońce,
Wielbią cię moje trupie wargi,
Wielbią cię moje łzy palące...

U stóp twych czołgam się, jak gad
Pod batem, mdlejąc z bólu, roję,
Że cię zatruje łez mych jad,
Że sądu krwawy dzień nastanie...
Przyjdą po ciebie krzywdy moje!
Kiedy?... Ach, o to mniejsza, Panie...

Do snu kołysze cię mój śpiew
W noc żona dzieli z tobą łóżę...

Co?... córka ma gorętszą krew,
Więc córka pójdzie dziś—to jasne,
Jeśli chcesz, Panie mój, czy Boże,
Bierz obie—ja i bez nich zasnę.

U stóp twych czołgam się, jak gad.
Drwiesz ze mnie, z nędzy, z nienawiści,
Ja kark pochylam nisko, rad,
Że cię nie wzrusza krew, ni łkanie.
Wiem, że marzenie me się ziści..
Kiedy... Ach o to mniejsza, Panie...

S ą d.

Chciałbym widzieć ten dzień, w którym umrze świat,
Gdy ziemia, martwa bryła lodu, spadnie na słońce,
Kiedy ogniem czerwonym gwiazdy zapalą się śpiące
I czas będzie się w trumnę z płomieni kładł.

Ten wielki, święty dzień, w którym Neron—bóg
Spojrzy na pożar swej Romy i rozkaże
Pójść hufcom archanielskim na najdalsze cmentarze
Z krzykiem zmartwychwstania w planet płonących stóg.

Widzę go... widzę... Oto usiadł na królewskim tronie,
O słońce oparł stopy, na łzy i skargi głuchy
Z kamiennym chłodem w oczach, z piekącym bólem w łonie...
Przed nim w krwawej łunie pożaru tłumią się duchy.

Słysząc aniołów płacz i szatanów bluźniercze śmiechy.
On sędzi: Ludzkie łzy dławia mu serce żałobą.
Smutny — przebacza najcięższe i najkrwawsze grzechy
I z goryczą uśmiecha się do siebie nad sobą.

Vox mystica.

Zygmuntowi Badowskiemu

Głos jakiś słyszę w głębi mojej duszy
Od dawien dawna, a nie wiem, skąd płynie,
Często go życie gwarem swoim zgłuszy,
Często w topieli dociekań zaginie,
Lecz zawsze z mętnej wynurza się toni
I na dnie serca pieśni ciche dzwoni.

Lubię go... lubię słuchać jego dźwięku
Niepojętego dla ludzkiego ucha,
Za to, że ani podobny do jęku,
Jakim pieśń życia w każdym dniu wybucha,
Za to, że myśl mą zwraca do błękitów
Wskazując zorze nieznanych rozkwitów.

Ani go pojąć, ni wyśpiewać mogę,
I dziwem dla mnie jest ten głos tajemny—
I radość wielką odczuwam i trwogę,
Kiedy przemawia, i jakiś byt ciemny
Dla mego serca i dla moich oczu
Oglądam wówczas—byt wśród gwiazd w przezroczu.

Czy to ułuda chorej wyobraźni —
Czy to przeczucie innej, lepszej doli,
Nie wiem—wiem tylko, że w życiowej kaźni
Tu na przesiąklej krwi i łzami roli
Jest mi przeczystym, kryształowym zdrojem,
Kędy się serce orzeźwia przed bojem.

I wiem, że gdyby w zniechęcenia chwili
Nie zabrzmiał w duszy pieśnią, słodką, jasną —
Gdyby go ludzie w piersi mej stłumili,
To, jak o zmierzchu—błaski słońca gasną,
Zgasłaby we mnie owa jasność złota,
Która mi świeci wśród mroków żywota.

Podziękowanie.

Serdecznie ci dziękuję, stary,
A toż ja wyłem jak pies z bólu,
Serce już kładło się na mary
A tyś je wskrzesił, siwy królu.

I dzisiaj mogę pójść bez trwogi
Na naszych snów prześnionych cmentarz,
Wrócić na zapomniane drogi
Z cichem zakłębem: Czy pamiętasz?

Bo choć na smutnym tym spacerze,
Wiatr wspomnień zlekka duszę muśnie,
Toć to znów—snu mi nie odbierze.
Żal, jeśli ocknie się, wnet uśnie.

Czas pocziwina zrobił swoje:
Drogę oczyścił, wymiółł ciernie,
Obciął zawiędłych snów powoje
I to nie byle jak, misternie.

Serdecznie ci dziękuję, stary,
Prawda, zem duszę miał upartą,
Kochała swych urojeń czary,
Mimo żeś szeptał wciąż: „niewarto“.

Ha, zapomniałem na śmierć o tem,
Na co się często serce żali,
Że mur nie trudno rozbić młotem,
Lecz nikt go czaszką nie rozwali.

I obłąkało mię cierpienie,
Wyłem jak pies, nie tracąc wiary..
Dzisiaj inaczej te sny cenię...
Serdecznie ci dziękuję, stary!

Pogrzeb dryady.

O północy cicho zaszumiał las,
Z za obłoków wyjrzał księżyc blady —
Osrebrzył liście starych drzew i zgasł,
A z gąszczów odezwały się dryady.

I powoli, nucąc żałobny śpiew,
Zeszły się w tłum na starej polanie
I w cieniu wielkich bladossrebrnych drzew
Śpiewały, tłumiąc w piersiach łkanie.

Nadciągnął elfów siwowłosych rój
I nadpłynęły na pogrzeb mgły sine
I rozplakał się rzewnie leśny źródło
W tę smutną północną godzinę.

Ptactwo leśne zleciało się z gniazd
I zaśpiewało tęskną pieśń chórem —
Potem na niebie zgasły ognie gwiazd
I las stał w milczeniu ponurem.

Aż nagle wiatr uderzył w liście drzew,
Zapłakał i orszak duchów blady,
Powoli, nucąc pogrzebowy śpiew,
Popłynął w dal z ciałem umarłej dryady.

Na śniegu.

Pole. Jak okiem sięgnąć śnieg. W oddali
Czernieją smutno sosny karłowate,
Nad niemi jeszcze rumieńcem się pali
Niebo, błyszczące od gwiazd, lodowate.

Z za chmury księżyc wyjrzał i kryształy
I dzierzga skrami pola białą szatę —
Cisza. Jak okiem sięgnąć śnieg. W oddali
Czernieją smutno sosny karłowate...

Zgasły ostatnie posłoneczne zorze,
Białe, bezbrzeżne, nieruchome morze
Śpi jak sfinks w srebrnych płomieniach miesiąca.

Gdzieś zapłakały głodnych wilków stada,
Ze śniegu, zda się, śmierć powstaje blada
I cicha, płynie w dal na pogrzeb słońca.

Z erotyków.

Choć losu półuśmiechy skromne
Rozkrwawia w jedną żrącą ranę
Serce tęsknotą obłąkane
I z bólu nieprzytomne, —
Nigdy o tobie nie zapomnę,
Nigdy Cię kochać nie przestanę...

I choć odwrócisz swoje oczy
Odemnie—pójdzie jasnym słońcem
Dni i chwil kilku czar uroczy
Za mojem sercem drżącym,
I będzie szedł tak światłem lśniącym,
Dopóki śmierć mnie nie omroczy...

Z podróży.

Laurowe ogrody, ciche senne gaje,
Słońce ściele się złotem po białym marmurze,
W szczelinach skał przydrożnych purpurowe róże,
Tu owdzie smutny cyprys nad gąszcz liści wstaje.

Dźwięk tunelu, brzęk harfy szklanej—wodospady,
Usypiający, głuchy turkot kół. Nareszcie...
Zachód okrwawił okna w średniowiecznem mieście.
Wieczór. Z zaułków dzwonią słodkie serenady.

Michał Anioł—Jowisza sny, zakute w kamień
Cellini—dumnych kruszców lubieżny kochanek,
I ów mistrz przenajśłodszy, oblubieniec wiosny.

Dzień... noc... dzień... kilka godzin letejskich omamień
I znów... Do okna wchodzi błękitny poranek,
A serce żre ten dawny mój ból zazdrośny.

Wspomnienie.

Dźwięki pianina, milknące w oddali
W srebrnych mgłach nocy—ostatnie westchnienie,
Cisza—i wielkie, nieruchome cienie
Na jasnej światła miesięcznego fali.

...A w oczach miała święte rozmarzenie...
Północ... Jak dziecko kiedy się rozzali,
Usnęło miasto i ogród. Błysk stali,
Krew... Kilka kropel gorzkiej krwi... Wspomnienie.

Filozoficzny punkt widzenia... może
Wiosenne słońce... królowna... natchnienie
Co więcej? prawda... prawda... nowe zorze.

Jakież to marne i śmieszne... a pali,
Żre tak, jak ogień... Dziwne są te cienie
Na jasnej światła miesięcznego fali.

Zmierzch.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe, wielkie morza...
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,
Idzie i światła z ziemi zbiera.
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie wieczoru ciemna zorza.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe, wielkie morza...
Po starych sadach śmierć się włóczy,
We mgłach deszcz płacze... deszcz się skarży
I monotonne psalmy śpiewa...
Po starych sadach śmierć się włóczy,
Znęca wędrowców na rozdroża.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe wielkie morza...
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,
Idzie i światła zbiera z ziemi.
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie wieczoru ciemna zorza.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe wielkie morza...
...W zaklętym zamku śpi królewna,
Śni o rycerzu w jasnej zbroi —
W zaklętym zamku śpi królewna,
W komnatach świeci światłość Boża...

A tam odpływa słońce senne
Za wielkie granatowe morza...

Przez fale wód.

Przez fale dziwnych wód,
Przez noc i krew, przez ból i łzy
Przez srebrne sny,
Za gwiazdą obłąkaną w biegu
Płynę do nieznanego brzegu.

Tęsknota w sercu mojem łka
Jak dziki jesienny wiatr,
Kiedy oblata puste stepy
I u cygańskich szatr
Skarzy się niby zebrak ślepy.

Tęsknota w sercu mojem łka,
Tęsknota słońce i jasnych zórz...

Przez fale dziwnych wód,
Przez noc i krew, przez ból i łzy,
Przez srebrne sny,
Za gwiazdą obłąkaną w biegu
Płynę do nieznanego brzegu.

Wiosenne rano.

Wiosenne rano. Słońce ledwo weszło
Złotą jasnością ściela się po trawie.
Na kwiatach rosa, jak pył brylantowy
Lśni... Świergot ptactwa i szmer liści cichy.

Serce drży w piersiach, niby ptak stepowy
Zamknięty w klatce... Teraz lecieć, płynąć,
Za łodzią słońca płynąć przez to morze
Rozbłękitnione, nieskończone morze.

Serce drży w piersiach niby ptak stepowy
Zamknięty w klatce... Boże!.. Boże... Boże!..

Nad morzem.

Dwie stare poczerniałe łodzie
Uśpione księżycową ciszą,
Na nieruchomej wielkiej wodzie
Dwa żagle białe się kołyszą.

Dwa białe obłakane kwiaty
Z mroku ku srebrnym gwiazdom drżące
Tam—na czarowne, senne światy
Wypływa słońce...

Anioł Pański.

Na wodę legł różowy cień
I rozleniwił jasne fale,
Skoś ciszę, pełną złotych lśnień
Wina się wolno i ospale.

Z ogrodów wschodzi zapach róż
I po winnicach się rozlewa,
W oddali pod melodyę mórz
Dzwon niewidzialny cicho śpiewa.

W gęstwinie laurowych drzew
Dzwon niewidzialny dzwoni zcicha,
Miarowo spada srebrny śpiew—
Wonią kwiatowych łąk oddycha.

Błogosławieństwo ziemi śle
Ukołysanej wielką ciszą,
Góry topnieją w złotej mgle,
Obłoki krwawym ogniem dyszą.

Preludjum.

Ignacemu Pieńkowskiemu.

W mgłę półświatła boleśnie wyciągnięte ręce
Dwie czarne, fantastyczne linje rąk... dwie żmije
Każda drży, każda w kurczach i w spazmach się wije
Kona we krwi, w lubieżnej obłąkanej męce.

Dźwięki płyną... Hej skargi szalone, zwierzęce
Płyną, rosną... W krew ziemi się sączą... Jęk bije
O słońca i o gwiazdy, aż ziemia się wije,
Tarza się we krwi, w ogniu, w rozpaczliwej męce.

Z cichym trzaskiem pękają struny... Świat się wali,
Zatacza się, o słońca się rozbija, leci,
Szaleje, własnym jadem, własną krwią się pali.

Uciec... uciec przed bólem umarłych stuleci..
Zapomnieć!.. Dźwięki płyną... Za mgłami, w oddali
Jej twarz cicha, spokojna zimnym blaskiem świeci.

W bezsennych nocy...

W bezsennych nocy
Gorączkowych snach,
W dumnej niemocy
Beznadziejnych łzach
Światłem skroś cienie
W purpurowej mgle,
Jak objawienie
Rzeźbisz się na tle
Mojego życia...

Przemykam oczy,
Idę w mroczną dal,
Serce mi tłoczy
Tęsknota i żal...
Cóż, że się roją
Jakieś złote sny,
Nie będziesz moja...
Cóż ból, krew, cóż łzy?
Nie będziesz moja...

Nokturn.

Srebrna melodja księżycowych strun
Łagodną falą rozplywa się w ciszę
I w takt mistycznych swoich dźwięków—run
Kwiaty na łące uśpione kołysze.

Na kwiatach rosa świeci się jak łzy
I płynie od nich taka słodycz czysta,
Że dusza mdleje i jak owe mgły
Staje się cicha, zwiewna i przejrzysta.

I pod muzykę księżycowych strun,
Co las i wodę i pole kołysze,
W takt rozśpiewanych cichych dźwięków—run
Łagodną falą rozplywa się w ciszę.



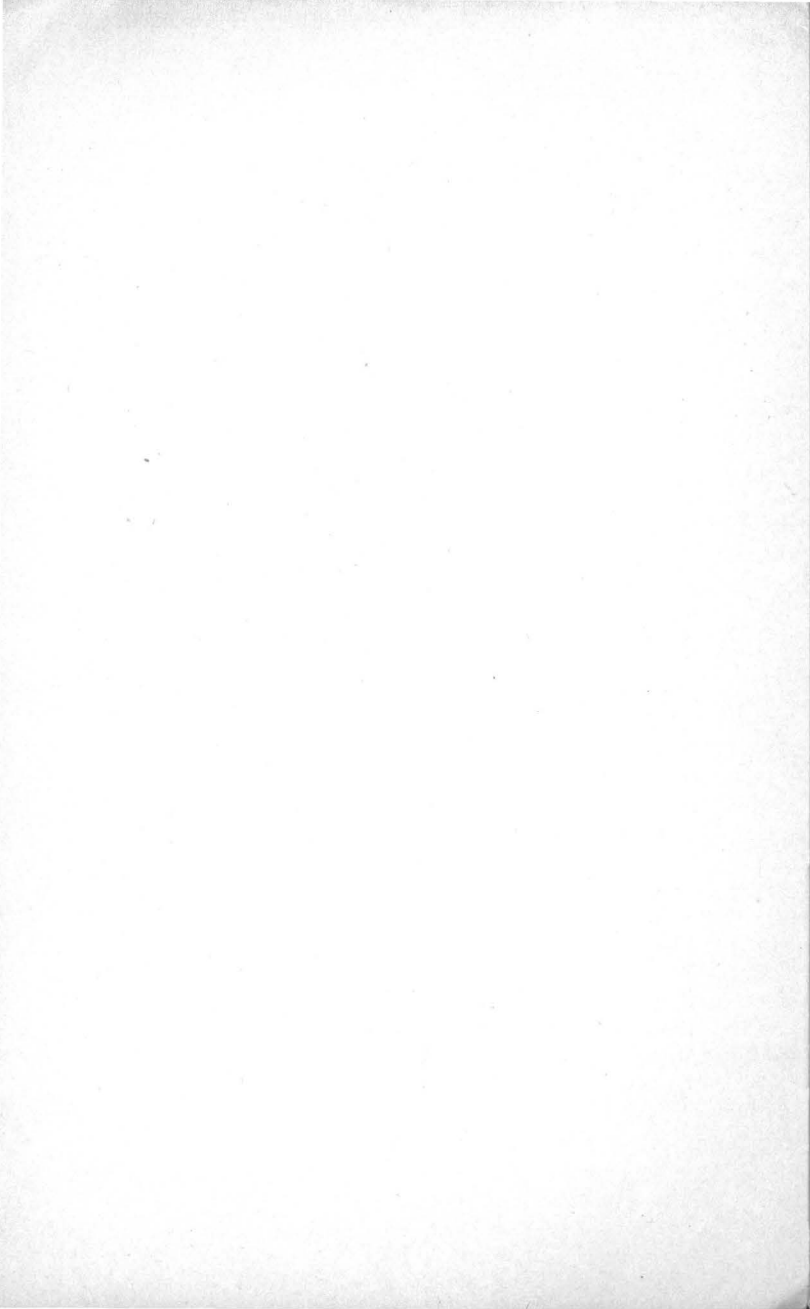
Przeczcucie.

Gdy srebrny dzwon zadzwoni
W blaskach wschodzącej zorzy,
Z kwitnącą lilją w dłoni
Przyjdzie Archanioł Boży.

I pierzchnie huf szatański
Na błędnych gwiazd manowce,
A owy Prorok pański
Pobłogosławi owce...

Gdy srebrny dzwon zadzwoni
W blaskach wschodzącej zorzy,
Z kwitnącą lilją w dłoni
Przyjdzie Archanioł Boży.

I przed Nim, przed tą zorzą,
Której już nic nie zmroczy,
Tak serca się otworzą
Jak Chrystusowe oczy,
Gdy trzecie dnia zaranie
Niosło im zmartwychwstanie.



SPIS RZECZY.

	<i>str.</i>
Wyznanie	5
Życie	7
Plein-air	8
Sen	9
Wizja	10
Poecie	11
Na drzwi wiodące do sypialni zmarłej margabiny .	12
Uajali	15
Wyśnionej	17
Przebudzenie	18
Pieśń o oczach. I.	20
II.	21
III.	22
Przysięga	23
Szum deszczu	25
Piosenka	26
Bez tytułu	27
Piosenka	36
Rozmowa	37
Miłość	39
Zaułek	40

	<i>str.</i>
W noc zimową	41
Wieczorem	42
Czarna msza	43
Świt	44
O świecie	45
Nazajutrz	47
Wizja	48
Wizja	49
Ze wspomnień	50
Piosnka niewolnika	53
Sąd	55
Vox mystica	56
Podziękowanie	58
Pogrzeb Dryady	60
Na śniegu	61
Z erotyków	62
Z podróży	63
Wspomnienie	64
Zmierzch	65
Przez fale wód	67
Wiosenne rano	68
Nad morzem	69
Anioł Pański	70
Preludjum	71
W bezsennych nocy	72
Nokturn	73
Przeczcucie	74

